16 I 12
1891. XVI. 97.

CZYTELNIA

NIEDZIELNA.

ROK TRZECI, 1858.

WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGRA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 391.

1858.

Czasop. 330/III
Ludowe

CZYTELNIA

NIEDZIELNA.

ROK TRZECI, 1858.

WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGRA.

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

1858.

BIBLIOTH. UNIV. JAGELLONICAE

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 11 (23) *Grudnia* 1858 *roku.*

Starszy Cenzor, **F. Sobieszczański.**

419
III cz

BIBLIOTHECA JAGELLONICA

Biblioteka Jagiellońska
1002394210

ROK TRZECI.

№ 1.

Warszawa.

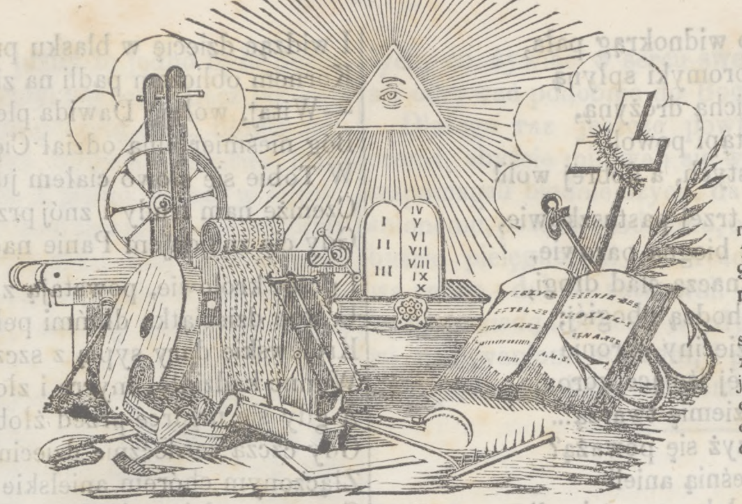
Dnia 22 grudnia

(3 stycznia).

1858.

Niedziela

między Obrzezaniem Pańskiem i Trzema Królami.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, któryś uczynił nas nowém dla siebie stworzeniem w Jednorodzonym Synu Twoim, racz przechowywać dzieło miłosierdzia Twego, a od wszelkich skalań zastarzałej, zepsutéj natury oczyść; iżbyśmy za pomocą Twéj łaski, podobnymi się stali do Tego, który połączył w sobie nasze, bez grzechu tylko przyrodzenie z Boską swą naturą. (Kollekta (1) na Niedzielę między obrzezaniem Pańskiem i Trzema Królami).

Kolenda.

I.

W żłobku na sianie, w stajence lichéj
Śpi Boże dziecię, Baranek cichy,
A od dzieciny uśpionéj czoła
Strumień światłości bije dokoła,
I niby w zorzy blaski różowe
Maryi-Dziewicy uwieńcza głowę,
Gdy ponad żłobkiem kornie schylona
Patrzy na dziecię, kwiat swego łona.
A przy Maryi Józef się korzy,
Siwy jak gołąb' piastunek Boży;
W sercu ich miłość walczy ze trwogą,
Bo ich źrenice ledwie znieść mogą
Ten blask uroczy dotąd nieznany,
Co rozpromienia stajenki ściany.

Zdala od żłobu osiełek z wołem
Nieme bydlątka, poklękły społem,
A nad dzieciną, przybrane w bieli
W złotym obłoku krążą anieli,
Jak z woniejącéj kwiatu korony
Pszczółek po łące rój rozpierzchniony,
I potrącają harfy z promieni,
I nucą Panu piewcy natchnieni
Coraz to wdzięczniéj, aż przestrzeń cała
Uroczą pieśnią chwały rozbrzmiała.

II.

O rannym świcie trzej pastuszkowie
Wołki w zielonéj pasą dąbrowie;
Nagle im anioł przemknął nad głową,
I zasłyszeli urocze słowo:
— Idźcie, niebieski goniec zawoła,
Przed cichym żłobkiem pochylcie czoła,
Dziś w Betlejemie zrodzone dziecię,
Ziarno rozsieje Boże po świecie;
Chwała w niebiesiech, wieczna mu chwała!

(1) Modlitwę kapłana po pierwszém *Oremus* nazywamy *Kollektą*. Zawiera ona prośbę za wiernymi i stosowana jest zawsze do czasu, potrzeby i uroczystości. Lud sercem powinien się łączyć z prośbami kapłana i prągnąć ich uiszczenia. Kto ma jakie potrzeby i pragnienia, w tym czasie i połączeniu się z tą powszechną modlitwą, niechaj Boga błaga. *Kollektą*, co znaczy *Zgromadzenie* czyli *Zebranie*, zowiemy tę modlitwę dlatego, iż była pierwszą po zebraniu się ludu.

Już blaskiem Jego widnokrąg pała,
Wnet jasnéj doli promyki spłyną
Tym, którzy idą cichą drożyną,
I pokój z nieba zstąpi powoli
Ludziom serc prostych, a dobréj woli!

Słysząc te wróżby trzej pastuszkowie,
Wraz po głębokim biegną parowie,
Wierne im wołki znaczą ślad drogi,
Już do stajenki wchodzą ubogiéj;
Lecz gdy ujrzeli dzieciny skronie
Cudnie w słonecznéj lśniące koronie,
Milcząc, upadli na ziemię twarzą...
Przestąpić progi czyż się poważą?
Aż im niebieską pieśnią anieli
Szczerą otuchę w głąb serca tchnęli.
— Przystąpcie, mówią, pastuszki śmiało,
Wam pierwszym uczcić Pana przystało;
On jak wy mały, biedny i cichy,
Jego nie znęci blask ziemskiéj pychy,
Miłe Mu wasze siermięgi szare,
Gdy macie w sercu miłość i wiarę.

Słysząc pastuszki pieśń tę, ochoczo
Społem do żłobka w pląsach przyskoczą,
Kładą gołębie, koźlęta w darze,
I własną piosnkę dmą na fujarze,
I zdala dźwięki w dolinie płyną:
—Chwała ci! chwała, Boża dziecino!
Co jakby rosą na zeschłą rolę
Przynosisz biednym pokój i dolę.

—

III.

Wtem zatętniała ziemia od Wschodu,
Moc niezliczona ciągnie narodu,
I trzej królowie idą po przedzie,
Każdy z nich orszak za sobą wiedzie,
A złota gwiazda blaski jasnemi
Ślady w pomroku znaczy przed niemi.
Dobiegli kresu, skończona jazda,
Nie rusza daléj przewodna gwiazda;
Dziwią się króle, pojąć nie mogą,
Że nad stajenką spływa ubogą,
I coraz cudniéj blask się jéj patrzy,
I niby w progu stawa na straży.

Być-że to może, pospołu radzą,
Aby to dziecię z królewską władzą
Tylu proroków przejrzane siłą,
W takiéj się nędzy światu zrodziło?
Aleź tajemnie gwiazda ich złota
Ciągnie w otwarte stajenki wrota,
A słysząc dźwięki anielskich pieni
I widząc dziecię w blasku promieni,
Kornem obliczem padli na ziemię:
—Witaj, wołają Dawida plemię!
Bóg nieśmiertelną odział Cię chwałą,
W Tobie się słowo ciałem już stało!
Czemże nam trudy i znój przetrwany,
Gdy cię znajdujem Panie nad Pany!

I drżąc królowie, powstają z ziemi,
U stóp dzieciątka dłońmi pełnemi
Królewskie dary sypią z szczodrotą:
Wonne kadzidło, myrrę i złoto,
A gdy się mędrce przed żłobkiem korzą,
Gdy czczą serdecznie dziecinę Bożą,
Złączonym chórem anielskie głosy
Coraz to wdzięczniéj biją w niebiosy,
Aż Betlejemu dolina cała
Uroczą pieśnią chwały zabrzmiała.

—

IV.

I nam o bracia! w życia powodzi
Cudowna gwiazda wiernie przewodzi,
Jak onym królom, co dziecię Boże
Pierwsi uczcili w ducha pokorze—
I nam Stróż Anioł przynosi słowo,
Jak tym pastuszkom, co pod dąbrową
W grudniowy ranek wołki pasali,
I my jak oni biedni i mali!

O! miejmy serca proste jak oni,
To i nas anioł skrzydły osłoni
I poprowadzi w ducha spokoju
Do świętych natchnień czystego zdroju,
I da nam poznać cudowne dziecię,
Co przyszło krzewić prawdę po świecie;
Bo wszakże słowo ciałem się stało,
Aby świat wieczną napełnić chwałą
I spuścić promień Niebieskiéj doli
Ludziom serc prostych, a dobréj woli.

Do Czytelników.

Rozpoczynając z dniem dzisiejszym rok trzeci swego bytu, *Czytelnia Niedzielna* z prawdziwą widzi pociechą, iż usiłowania jéj ku pożytkowi waszemu kochani bracia! zwrócone, straconemi nie zostały; że zamiłowanie w czytaniu jéj pomiędzy wami stopniowo wzrasta, a w niektórych nawet okolicach kraju stała się ona jedyną pobudką do nauczenia się czytania wielu kmiotkom. Gdyby więc pismo nasze innych nie

osiągnęło skutków, jużby to jedno było dostateczną dla jego Redakcyi nagrodą. Lecz jak każda myśl w poczciwym poczęta celu, błogie wydać musi owoce, gdyż błogosławieństwo Boże wiedzie za sobą, tak i pismo nasze w miłości chrześciańskiej źródło swe czerpiące, nie wątpimy o tem, i w tym nowym roku znajdzie nie mniéj chętne pomiędzy wami przyjęcie; a dobro, o jakiem nadmieniliśmy, szerzéj pomiędzy wami rozleje.

Przed dwoma laty śląc w wasze progi pierwszy numer *Czytelni*, oznajmiliśmy wam kochani bracia, iż głównym naszym celem jest, podać wam w chwili odetchnienia po cało-tygodniowéj pracy miłą rozrywkę i naukę według zakonu Bożego; obok tego, podzielić się z wami tém, cośmy już potrafili zdobyć z łaski Opatrzności, czyto na polu nauki, czy z doświadczenia własnego. O ileśmy się z przyrzeczenia naszego wywiązali, sąd o tem do was należy— my jedynie z ręką na piersiach wyrzec to śmiało możemy, że nas przez cały okres minionych dwóch lat, jedna poczciwa dążność, jedna zawsze ku wam miłość braterska ożywiała.

Poraz pierwszy przemawiając do was w tym roku, zaczynamy od złożenia wam kochani bracia! życzeń, stosując się w tem do z dawna uświęconego ojców naszych zwyczaju, zwyczaju, który w téj epoce radości z powodu Narodzenia Zbawiciela, zbliżał ku sobie serca Jego wyznawców i kładł nieraz tamę zadawnionym waśniom. Otoż i my nic lepszego życzyć wam nie możemy, tylko, ażeby z nowym tym rokiem ustały pomiędzy wami niechęci, niezgody i poróżnienia. Byście w Imie Chrystusa Pana, który przez miłość dla ludzi bolesną śmierć na krzyżu poniósł, podali sobie rękę pojednania, i poczęli miłować się wzajemnie, jak to Bóg przykazał — abyście wyrugowali z serc waszych zazdrość, nienawiść i inne brzydkie uczucia, przeszkadzające wam kochać bliźniego jak siebie samego—abyście przy codziennym pacierzu powtarzając słowa modlitwy pańskiéj: *i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom*, nie byli zmuszeni rumienić się przed własnem sumieniem za kłamstwo, jakie popełniacie, i drżeć z bojaźni, ażeby Stwórca przedwieczny modlitwy téj na wasze własne nie wysłuchał nieszczęście. Gdyż pomyślcie sami, jaki sąd musiałby wypaść na tych, co żywiąc w sercu swem nienawiść, śmią się odzywać podobnie do Boga.

Dlatego raz jeszcze powtarzamy wam życzenie, abyście miłowali się wszyscy wzajemnie, wspomagali biedniejszych, dawali wsparcie uciśnionemu, posiłek głodnemu, odzienie nagiemu— byście pielęgnowali w sercach waszych domowe cnoty, dobre zachowali obyczaje i szli zawsze *prawdą* i *pracą*; wtedy Bóg pobłogosławi usiłowaniom waszym, i pomyślność zagości stale pod strzechami waszemi.

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

I.

Hej! ty Wisło modra rzeko!
Kieby kwiat,
Płyniesz sobie het! daleko,
W obcy świat.

Przy trakcie bitym sześć mil za Łowiczem, posuwając się ku krakowskim stronom, stoi karczma duża murowana z ogromnym szyldem nad drzwiami wchodowemi.

W połowie września w samo południe, w izbie karczemnej znajdowało się ze czterdziestu flisów i orelów, powracających z Gdańska. Jedni z nich z krótkich cybuszków palili fajki, i z przekręconą nabakier krakowską magierką poglądali zuchowato po swych towarzyszach; inni krajali sér i chleb kozikiem, lub zawijali z misek barszcz ze szkopowiną, który im dużą warząchwią rozlewała szynkarka; inni nareszcie starsi wiekiem, wsparci rękoma na wiosłach, zdawali się dumać o rodzinie, o gospodarstwie, które tam daleko pozostawili. Z początku było cichutko między zgromadzonymi flisakami, bo każdy był zajęty jedzeniem lub odpoczynkiem, ale po chwili dwóch młodych chłopaków cóś zaczęło między sobą szeptać, potem śmiać się skrycie, wreszcie łechtać i przewracać jak dwa barany po ziemi.

— Dajta pokój tym zbereżeństwom, odezwał się jeden ze starszych flisaków — ot lepiej posłuchajmy Jana, co nam obiecał opowiedzieć o swoich młodszych latach.

— Zapewne, zapewne, odezwano się gwarnie, prosimy was Janie, prosimy.

Na takie zaproszenie zpod ściany powstał jeden ze starszych flisów, wysoki, prosty jak świe-

ca, już dobrze w piątym krzyżyku wieku życia, z poczciwością i dobrocią na twarzy, i prostując się, rzekł.

— Bóg wam zapłać za wasze proszenie, gadki wam swéj nie pożałuję, bo poczciwa gadka lepsza zawdy niż hultajstwo i zbereżeństwo. Ale w gromadzie, kaj ja starszy, to się o hultajstwo nie stracham, bo za cholewą mam rzemień twardy, a ręce krzepkie, to poczciwość musi iść przodem.

— No, no, ino, o rzemieniu dajcie pokój, odezwał się jeden z młodych chłopaków, bo jeszcze mi dziś mrowie po skórze przechodzi, coście nam takie basiory na plecach porobili.

Stary Jan tylko się uśmiechnął, przyciągnął pasa, chciał coś na to odpowiedzieć, ale go zagadnął jeden z gromady.

— To wy się ze swoim dziedzicem znali od maleńkości?

— Od maleńkości mój Wojciechu! odrzekł Jan i zapaliwszy fajkę, usiadł na małym pniaczku i tak daléj mówił, przy ogólnéj wszystkich uwadze:

— Kiedy mnie ojcowie odumarli, przyjaciół nie miałem wiela, a choć ta był jaki, to zawsze bliższa koszula ciała niżeli sukmana. Ale dziedzic miał syna jedynaka, ino o pół roku ode mnie młodszego, co go wykarmili moja nieboszka matusia, i zaraz potem cosić we trzy lata pomarli. Jakem więc w takich latach został biednym sierotą, tak mnie dziedzic wziął do dworu na wychowanie i do zabawy młodemu paniczowi. I tak przechodził rok za rokiem, nikiéjby kto z bicza trzaskał, a myśmy się bawili, latali po ogrodzie, po polach, po lesie, a zawdy i głośno i wesoło, jak dwa młode jagniaki. Jakeśwa trocha podrośli, tak panicza zagnali do nauki, a mnie do paszenia indyków, i panicz mnie pokazywał na książce różne malowane ptaki i zwierzęta, czytał mi różne pieśni nabożne, a ja znowu jemu strugałem pługi, radła, stawiałem wiatraki i młyny na wodzie, przynosiłem mu rzepę, ziemniaki pieczone, on mi zaś za to wynosił w kieszonkach różne jedzenie z obiadu. I nigdy między nami nie było żadnego pokłócenia, zawdy go szanowałem jak swego panicza, i nigdy nie zabaczałem, że z sobą nie jesteśmy w równości. Dlatego kochaliśmy się nikiej bracia, że jeden za drugim omało nie zginął, że byliśmy prawie jak jedność. Ale ja juda byłem chłopak, figlów to u mnie nie kupić; ptak, pies, kot, to wszystko uciekało jak oparzone, bo każdemu musiałem coś zmajstrować albo dokuczyć.

Ludzie na mnie o te zbereżeństwa ogromnie powstawali, alem ja na to nie zważał, bo miałem panicza za sobą, co się zwał Pawełek; dlatego nikogo się nie bałem, tylko jednego starszego pana, choć ino w oczach, bo za oczami tom zaraz se bąknął pod nosem: gadaj se, gadaj, bo tyla twego, i juścić.

Raz pamiętam coś złego w samo południe zaprowadziło mnie z paniczem do owczarni. Patrzę, a tu barany, tęgie rogale chodzą se nikiéj pawie. Ej! myślę sobie: zwiążę ze dwóch do siebie ogonami, co też potem będą robić?

Hajże więc zaraz w zanadrze, dalej do sznurka, i nie zeszło dwóch pacierzy, jak dwóch baranów sznurkiem tęgo na pętelkę zaciągniętym, stało tyłem do siebie ogonami związanych. Z początku baraniska nie wiedząc co się z niemi stało, ani się ruszały z miejsca. Tak ja wziąłem pręcika i postraszyłem z jednej strony, a panicz z drugiej. Zaraz jeden baran skoczył ostro naprzód, ale cóż z tego, kiedy go znowu drugi pociągnął ku sobie. Zaczęli się więc pociągać coraz silniej, bo duchem się im zdało, że jeden drugiego przemoże. My więc dalejże się śmiać i coraz lepiej ich drażnić. Ale moi kochani, inne barany jak zobaczyły, że ci dwaj wysadzają się ze łbami naprzód jak do bicia, jak nie ponabierają jankuru, jak się nie uszykują rzędem nikiej żołnierze po obydwóch stronach, jak się nie zaczną odsadzać, i potem jeden po drugim walić we łby związanych baranów, a którym miejsca nie stało, to hala! między sobą, to powiadam wam moi ludzie, że z tego taka powstała zabijatyka, taki rumot, takie trzaskanie w owczarni, jakby strzelanie, albo młócenie chłopów na ośmiórkę w stodole,

Pokalkulowawszy, że z tego może przyjść do jakiej okazyi, chciałem razem z paniczem uciec, ale ani sposób, bo duchem trzeba było pójść między barany, a jakby był który huknął, to na miejscu zabiłby człeka; gdziem rzucił okiem, to nic nie było widać ino pędzące na siebie barany, i czy w prawo czy w lewo, trzask! trzask! trzask! że aż uszy bolały. Nie będę wam dalej o tem się rozgadywał, bo owczarz myśląc, co wilcy podkopali się do owczarni, wpadł pędem między owce, i zobaczywszy mnie i dwóch baranów związanych za ogony, wszystkiego się domyślił; nie zważając więc na panicza, taką mi

sprawił frycówkę, że potem calutki miesiąc od pełni do pełni, pręgi po całém ciele miałem, a pan powiedział, że jeżeli na szubienicy nie skończę, to wielka będzie łaska Pana Boga.

— A to wam ładno przepowiedział, odezwał się jeden z flisaków, bo też po prawdzie powiedziawszy, nicpoń z was był nieladajaki.

— Ani słowa, mój Andrzeju, odrzekł na to Jan, wzdychając, i kto wie, może przepowiedzenie pana o szubienicy byłoby się sprawdziło, gdyby nie poczciwy panicz Pawełek, co zawdy miał mnie na baczeniu i w wielkiej obserwacyi. Otóż moi kochani! choć frycówka owczarska do dziś dnia stoi mi w pamięci, ale wtedy nic mnie nie poprawiła; bo przy paniczu trocha się rozpróżniaczyłem, więc nie robotą zaprzątałem sobie myślenie, ino zbereżeństwami, a potem mszczeniem się na owczarzu, któremu dzień i noc całą nigdy spokojności nie dałem.

Ale moi ludzie! jak słonko, co naprzód wschodzi, potem idzie w górę, het! w górę, a potem opada aże zajdzie; jak na drzewie jabłko albo gruszka, póty się trzyma na korzonku, dopóki nie dojrzeje, i potem pac! na ziemię, tak samo dzieje się i z człowiekiem. Zbereżeństwa i próżniactwo uchodziło mi długi czas, bo mnie panicz zawdy osłaniał. Ale dzban ino do czasu wodę nosi—tak i mnie urwało się wszystko, i oddany zostałem na służbę do gospodarza. Wtedy to dopiero moi chłopcy! zacząłem się uczyć rozumu, poswatałem się z biedą, i po dwóch latach dopiero zacząłem w figlach folgować i tak się ustatkowałem, że mi Jegomość pozwalał nawiedzać panicza, a potem wziął mnie na służbę do dworu.

Wyrostek już wtedy był ze mnie, miałem lat szesnaście, ale z paniczem niedługo się cieszyłem, bo go do szkół jegomość oddał i ja go sam do Kielc odwiózłem. Od tego czasu wiela razy panicza wypadało na jakie święta przywozić, zawdy ja po niego jeździłem, i ino ja odwoziłem. Mój Boże, cośwa się też wtedy z sobą nie ugadali, co się ja też nie nasłuchał różnych przeróżnych od panicza mądrych rzeczy, co wszystko stoi w książkach, to powiadam wam, że się dziwne zemną rzeczy robiły. Ale przy innéj okazyi to wam te ciekawości opowiem.

Otóż moi kochani! panicz się uczył w szkołach na książkach, a ja pracy w polu przy robocie—do roku widywaliśmy się po kilka razy, i duchem mi się zdało, że tak nazawdy pozostanie. Ale czy na świecie zawsze wszystko jest jednako? Jednego dnia słonko ładno świeci i ptaki się radują, wiatr szumi cichutko po zbożach, po lasach, jakby to i kłosy i drzewa z sobą gadały—drugiego znowu dnia chmury ino się przewalają po niebie, słonko kiedyniekiedy na jeden pacierz pokaże się, i jużcić znowu się schowa. Czasem znowu to go całkiem nie widać, niebo pluska deszczem nikiejby płakało, albo strzela piorunami, huczy grzmotami, rychtyk nie przymierzając jak na wojnie, kiedy z harmat walą, a dym kłębami po całem rozłazi się polu, bo to i tego człowiek praktykował. To też wtedy nie ładno na świecie: nikaj żadnej wesołości, czy to w batalii, czy w polu, jak jest nawałnica—a jak spokój między ludźmi i na niebie pogoda, to wtedy głowa nic się nie turbuje, a wewnątrz w człeku tak jakoś radośnie i wesoło, jakby go Pan Bóg ino do śmiechu i do wesołości stworzył.

Otóż i z nami tak samo się działo—bo jak jegomościa Bóg zabrał do swojej chwały, tak jakby uciął siekierą, wszystko się zmieniło, a panicz wyjechał do szkół do Warszawy i zginął mi z oczów jak kamień w wodę. Oj! spłakałem się też wtedy, spłakałem, a panicz choć mnie pocieszał i obiecywał przyjąć za karbowego jak wróci do swej ojcowizny, równie jednak miał łzy w oczach, co tak poczciwemu panu żal mnie było opuszczać.

Ale na świecie wszystko pomału w swej wytrwałości folguje, i ja byłbym o paniczu może na piękne zabaczył, gdyby nie jedna okoliczność, co póki życia mego, nigdy mi nie wyjdzie z pamięci. Oto widzicie, kiedy jeszcze moje matczysko żyło, raz padła na nią ciężka choroba, tak, że już napewne myśleliśmy, co przyjdzie mi matkę utracić. Spłakałem się, sfrasowałem, bo każdy poczciwy człek wie, że wszystko za pieniądze kupi, ino nie ojca ani matki. Panicz pocieszał mnie jak mógł, jegomość posłał po doktora, kazał zakupić różnych lekarstw i potem z synem naprzemiany raz poraz zachodzili do chałupy, wywiadywali się, ratowali, pocieszali, znosili różności do picia i jedzenia, aż Bóg miłosierny ulitował się i matka przecie wydobrzała. Otóż to taka poczciwość nigdy mi z pamięci wyjść nie mogła, a choć ludzie zabaczają o niej i opiekę dworską w chorobie, albo w jakim innym wypadku za nic sobie ważą, uważając ją jakby za powinność, ze mną stało się inaczej; bo i nie-

zabaczyłem tego, i o moim dobrym paniczu zawdy rzecz tę zachowywałem w pamięci, myśląc ino o tem, jakby się z nim kiedy jeszcze w życiu swem zobaczyć i pokazać, jakie to mam serce dla niego.

Ale czas uchodził, a tu panicza ani słychu, ani widu, tak, że myślałem, iż już nigdy w świecie nie zetkniemy się z sobą. I przykro mi się zrobiło, jak sobie o takiéj rzeczy pomyślałem, ale trudno; muru głową nie przebije. Aż raz na wiosnę nowy nasz pan wyprawił nas kilku chłopów do Kępy nad Wisłą dla nacięcia chrustu. Przez cały dzień rąbaliśmy—galary ze zbożém i tratwy płynęły jedna za drugą, flisowie i orélowie wykrzykiwali przeciągle jakby śpiewający: *wara! cha! wara! od lądu wara!* a ja nadsłuchiwałem, jak to głos szedł daleko po wodzie, odbijał się między wzgórzami, a drygawki ino pluskały: *plusk, plusk, plusk, plusk!* Wieczorem rozpaliliśmy ogień, przystawili garnki z ziemniakami, i pozapalawszy fajki, pokładliśmy się przy ognisku. Noc była pogodniutka i tak widna, jakby dzień biały. Księżyc duży, bo to była pełnia, wisiał nad naszemi głowami, gwiazdki wedle niego migotały nikiéj świece na procesyi, kiedy ludowina idzie za księdzem ze śpiewaniem. Wisła ino szumiała i parkotała jak woda w garnku, kiedy się gotuje, słowiki między chrustem wyśpiewywały, a do nas jakby zpod ziemi dochodziły nawoływania orélów. O! śliczno wtedy było spojrzeć po świecie. Powyciągani nikiéj lisy wedle ogniska gwarzyliśmy najwięcej o orélstwie; ten gadał to, ten owo, bo byli między nami i tacy, co tego chleba próbowali. Dosyć moi ludzie, że takiej do wody na Wiśle nabrałem ochoty, iż nie zeszedł miesiąc czasu, a ja z miną zuchowatą, z czapką nabakier, z fajczyną w zębach stojąc przy drygawce, i *plusk, plusk, plusk*, płynąłem do Gdańska. O! żeby kto wtedy mógł był zajrzeć do mojego serca, to by dopiero poznał, jaka w niem była uciecha!

Bo to przez dzień płyniewa, a tu od pasa do pasa ino się rozlega co tak woława do siebie. Wisła zawdy jedno gra i śpiewa, nikiéj basy przy skrzypkach: *plusk, plusk, plusk, plusk*, a tu co upłyniewa trochę, to inna wieś, inne miasto, inny świat. To chałupa sama w polu nikiéj biedna sierota, co ni ojców, ni przyjaciół, ni żadnego zachowania między ludźmi; to znowu widać zdala kościół i dzwonicę, a wedle nich chałupy i duże i małe, jedna bliżéj druga daléj, nikiéj ludowina, co po nabożeństwie rozłazi się na wszystkie strony; to znowu puste pola jałowe, z jałowcem, z małemi krzakami sośniny, a za tem dopiero daleko het! tam het! topole, co stoją wedle wiosek, kominy od chałup, a wszędy pusto, i jakoś tak nijako, nikiéj w sercu u człowieka, kiedy mu smutno i daleko od swoich, a przypomina sobie młode lata, kiedy figlował i różne, jak ja, wyprawiał zbereżeństwa.

— Z baranami, dołożył jeden z gromady. Wszyscy się zaraz z tego roześmieli, a Jan stary przedmuchnął fajkę, rozsznurował usta, bo i on jakoś ochoty do śmiechu nabierał, i zapalając ją, odezwał się:

— Moi ludzie, co złe, to z tego niema się co chwalić, a zbereżeństwa poczciwością nie można nazywać. Ale to dopiero człek jak wypada, co pozna swoję złość, swoje głupstwo i poprawi się. Ale słuchajta daléj, bo niedługo trza w drogę ruszyć.

Wszyscy bliżéj się przysunęli ku Janowi, a ten zamyślił się troszkę, westchnął, jakby mu smutne myśli przyszły do głowy, i po chwilce mówił daléj:

— Jakeśwa przypłynęli do Warszawy, ja zaraz poszedłem szukać panicza, i póty ludzi zaczepiałem z kartką, co miałem na niéj wypisane gdzie mieszka, aż przecie go znalazłem. Ale moi ludzie, zastałem go chorego w łóżku, i taki był biedniuchny, taki zmizerowany, że oczom swoim nie chciałem wierzyć, żeby to był mój panicz kochany. Jakeśmy się poznali, tak popłakaliśmy się jak dzieci; ja opowiedziałem mu wszystko o sobie, jak zostałem orélem, jak przybywszy do Warszawy, naprzód sobie o nim przypomniałem—on znowu o sobie, jak po śmierci ojca źli ludzie chcieli mu zabrać majątek, jak się zaczął z nimi prawować, jak w końcu wyniszczył się ze wszystkiego grosza, i z tego zmartwienia rozchorował się i układł w łóżko, prosząc Boga, żeby go zabrał do swojéj chwały, bo już nijakiego na świecie nie ma przyjaciela. Tak ja moi ludzie przypomniawszy sobie, jak panicz zawdy był dla mnie z życzliwością, jak mi matkę razem z ojcem ratował w chorobie, i nie żałował ni fatygi, ni pieniędzy, tak ucałowałem mu ręce i rzekłem nawpół z płaczem:

— Paniczu! ja prosty orél, nie wesprę cię pieniędzmi, bo nie mam wiela, nie dodam ci mądréj porady, bo ani pisać ani czytać nie umiem; ale mam w mieszku cosić dwa talary, to weź je

dla siebie—mam krzepkie, zdrowe ręce, to ci dam opiekę, na jaką mnie stać będzie, i już pozwól, że cię nie opuszczę aż wyzdrowiejesz.

Przy tych słowach stary Jan otarł oczy, co mu łzami zaszły; każdy westchnął, bo poczciwość taka zawsze idzie do serca, a Bóg ją zapisuje w niebie—po chwilce zaczął dopiero mówić:

— Moi ludzie, panicz sprzeciwiał się memu zostaniu, odpychał i talary, ale ja póty molestowałem, póty perswadowałem, aż panicz przystał na moje proszenie. Zostałem przy nim, i tak jakoś Pan Bóg we wszystkiem błogosławił, że panicz niedługo i do zdrowia powrócił i z prawowaniem zaczęło mu się lepiéj powodzić. Kiedy miałem odchodzić do domu, tak rzekł do mnie:

— Mój Janku, za twoję poczciwość...

— Za jaką poczciwość? zapytałem przerywając paniczowi, czy to panicz zapomniał, jak mi matkę ratował w chorobie? czy to już mnie nic nie należy zrobić dla panicza?

— Alboż to tylko tobie jednemu, odrzekł panicz, ratowaliśmy matki w chorobie? Czyż to dwory nie mają zawsze opieki nad swymi włościanami, nie ratują w każdym wypadku, a jednak mało kto pamięta o tem, i uważa to jakby jaką powinność?

— Ej! proszę pana, odrzekłem na to, choć ta ludzie po wsiach tak robią, ale to nie ze złego serca, ino z głupiego rozumu i z nawyknienia, że we dworze mało mają dla siebie przychylności.

—A juścić, a juścić, odezwało się kilku ze słuchającéj gromady, bo trzeba być bardzo złym i nie dbać o łaskę Pana Boga, żeby na poczciwość złem i nieprzychylnością ludziom płacić.

— Swięte wasze słowa, odezwał się Jan na to, i żeby wszyscy włościanie słowa te mieli w pamięci, to inaczéj byłoby na świecie. Ale może Bóg się kiedy ulituje, i da nam lepszy rozum, to wtedy poznamy, żeśmy złe robili.

— No juścić przyjdzie to kiedyś na świecie, bo coraz lepiej w głowach się wszystko układa; ale powiedzcie, cóż się daléj stało z paniczem?

— A moi kochani, odezwał się Jan, chciał mi duchem dać pieniędzy, ale nie wziąłem, Bóg świadkiem, ino swoje dwa talary, żebym miał o czem wrócić do domu. Ale moi ludzie, panicz mnie podszedł, bo w miesiąc, kiedy powróciłem do wsi, przysłał mi sto złotych, a choć mi się bardzo przydały, bo właśnie zabierałem się wtedy do żeniaczki i do gospodarstwa na swoję rękę, jednak mi było strasznie markotno, że zapłacił mi za to, co ja mu z serca i z duszy swej dałem. Kupiłem więc szkapę, i tak mi się jakoś wszystko poszykowało, że wnet urosłem w pierze, dochowałem się i koni i bydła, dziewuchom sprawiłem wesele, wywianowałem, syna osadziłem po sobie na gospodarstwie, a sam jak mi Bóg zabrał do swej chwały kobietę, przypomniałem sobie młode lata i wybrałem się na orelkę.

— A cóż się z paniczem stało? zapytano gwarnie.

— Panicz, moi kochani! w zawieruchę poszedł w świat, odrzekł Jan smutnie, głowę spuszczając, i od tego czasu już go nie widziałem. Nie wiem więc nic, co się z nim dzieje—ale gdybym go kiedy zobaczył, to jabym się zagubił z radości. Bo moi ludzie i matkę mi ratował, i za te głupie kilka tygodni, co byłem przy nim w Warszawie, zapłacił mi więcéj jak warto, i do tego z życzliwością, kiedy mi Bóg tak na jego groszu pobłogosławił. To i jakżeć tu takiego człowieka nie kochać, i nie myśleć o tém, żeby mu się odwdzięczyć?

— A juścić, a juścić, potwierdzono gwarnie, nawet nieme bydlę liże rękę człowieka, co go głaska, a cóż dopiero człowiek?

— Dlatego moi ludzie, nie umrę póty, aż zobaczę mego pana kochanego, odezwał się Jan, wytrząsając popiół z fajki, żeby go uściskać, ugadać się z nim, nacieszyć, przypomnić młode lata, a potem...

Mówiąc to Jan, nagle uciął, bo od sieni drzwi się otworzyły, i wszedł niemi jakiś pan dosyć słuszny, i już ze szpakowatemi włosami na głowie. Jan przyjrzał mu się, pobladł, potem się zaczerwienił, a podróżny pan coś zagadał do szynkarki—zerwał się z pniaka, przybiegł do podróżnego, i obejmując mu nogi, zawołał drżącym od wzruszenia głosem:

— Paniczu! mój panie kochany! jakże Bóg dobry, że cię znowu zobaczyłem. O! Boże... o mój mocny Boże!...

Dalej już nie mógł mówić stary Jan, i rozpłakał się głośno jak dziecko. Wówczas Pan Paweł podniósł Jana z ziemi, i przyglądając mu się, mówił, łzy łykając:

— Toś ty mój poczciwy Janie? Jakże jesteś dobry, żeś mnie nie zapomniał. Mój Janie, mój poczciwy i dobry Janie!

I przy tych słowach przytulił głowę starego

oréla do piersi, i przez chwilkę tak cichutko zrobiło się w izbie karczemnej, że nic nie było słychać, tylko łkanie płaczącego Jana. Kiedy się troszkę w swej radości uspokoili, pan Paweł zaczął się wypytywać Jana o różne szczegóły, o znajomych, Jan znów jego, aż przyszło do młodych lat; wtedy pan Paweł uśmiechając się, rzekł:

— A pamiętasz Janie owych baranów, co to im ogony powiązałeś?

— Oj! pamiętam, mój drogi panie, krztusząc się od śmiechu, odrzekł Jan — dobrze, że się głupie baraniska nie pozabijały.

I jeszcze długo potem z sobą rozgadywali się. Pan Paweł powiedział, że niedługo powróci do swej ojcowizny, że już muszą razem swój żywot przepędzić, że się nigdy już z sobą nie rozłączą, i że teraz jedzie do Warszawy, a za dwa tygodnie wraca do swej wioski.

Niedługo gościńcem w jednę stronę jechał pan Paweł ku Warszawie, a w drugą stronę maszerowała kupka orélów ku krakowskim stronom. Choć rozmowy między nimi nie brakowało, najweselszy był jednak Jan stary: wszystkich zaczepiał, śmiał się, przekrzywiając nabakier magierki, pośpiewywał, i często obracając się do swych towarzyszy, mówił.

— Już to moi bracia wierzcie mi, że niema jak z przyjaźnią i przychylnością trzymać się dworu; bo choć człek przez dwór z jakiego naciśku stęknie czasem, boć i tam tacy ludzie są jak wszyscy, ale za to dziesięć razy z uciechy rozśmieje się także przy pomocy dworu. Bo my ludzie prości, bez żadnej edukacyi, a we dworze wszystko człek znajdzie i nauczenie i poradzenie. Oj! tak, tak, wierzajcie mi, ja nie dzisiejszy, i znam wszystko dokumentnie. Służta uczciwie dworowi i z przychylnością, a przekonata się sami, że stary Jan dobrą do was wyprowadzał gadkę.

— Zapewne, zapewne, odezwano się gwarnie, ino że to nie wszyscy tak odrazu na to przystaną.

— Pomału i w ich serca Pan Bóg zajrzy, odrzekł Jan.

— A każdy jak umie, niech drugiemu przekłada, to poczciwe słowo ptakiem obleci pomiędzy wszystkimi, i mało wiela przecież to każdemu zostanie coś w głowie. Ale dalej chłopcy! przysporzmy kroku, bo do noclegu jeszcze kawał drogi.

I sporzej ruszyli gościńcem, rozważając w myśli mądre słowa Jana i całe wydarzenie w karczmie.

Zawiadomienie.

W dalszym ciągu ogłoszeń w Czytelni Niedzielnéj Nr. 7 i 20 r. z. zamieszczonych, Redakcya zawiadamia, iż rzemieślnicy, którzy otrzymali pożyczkę z funduszu kassy Rzemieślniczo-pożyczkowéj, wnieśli na poczet należnéj od nich raty 2éj rs. 28 *kop.* 15
3éj rs. 39.

Razem rs. 67 *kop.* 15.

Z tego otrzymali nowe pożyczki:
Jan Morawski farbiarz z Krakowskiego-Przedmieścia nr. 634, *rs.* 28 *kop.* 15.
Józef Krasiński krawiec damski z ulicy Zielnéj nr. 1428, *rs.* 39.

Razem zgodno jak wyżéj rs. 67 *kop.* 15.

Przypowieści.

1. Co wino radzi pijają, a tłuste kąski jadają, Nie zbiorą tacy pieniędzy, owszem zawsze będą w nędzy.
2. Dobre zachowanie, lepsze niż gotowe pieniądze.
3. Gospodarz ma wiedzieć o polu, o gumnie i o stajni; gospodyni powinna wiedzieć o kuchni i o piwnicy.
4. Grzechy młodości, karze pan Bóg na stare kości.
5. Kto chce być dobrym powiadaczem, trzeba aby był dobrym słuchaczem.
6. Łgarze Pan Bóg karze, jeśli nie mrozem, tedy powrozem.
7. Nie przylecą do lenia pieczone gołąbki, by siedział i nadsiedział, zgotowawszy ząbki.
8. Więcéj gość za godzinę w całym domu ujrzy, niż gospodarz za rok.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować. Warszawa dnia 16 (28) grudnia 1857 r.— Starszy cenzor, F. Sobieszczański.